

W Adasiu



Grudzień 2018

Wigilia 81

**(...) Nie płacz mamo, gdy przyjdzie Wigilia
Daj na puste miejsce kromkę chleba.
A gdy gwiazda się pierwsza zaświeci,
Wymów słowa, że tak było trzeba.**

Kraków 19.12.1981

11 grudnia młodzież naszego liceum zebrała się w sali gimnastycznej, by posłuchać wierszy i pieśni **stanu wojennego**, wprowadzonego w Polsce w 1981 roku. W taki sposób uczciła pamięć ofiar dramatycznego wydarzenia.

14 grudnia 2018 roku do naszej szkoły zawitał pan **Benedykt Filoda**, wieloletni działacz opozycji w czasach PRL, jeden z inicjatorów strajku w Zakładach Przemysłu Ciągnikowego „Ursus”, a także członek grupy założycielskiej NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Krzyżem Wolności i Solidarności. Pan Filoda zgodził się udzielić wywiadu na temat swojej działalności na rzecz „Solidarności” i nie tylko. Wdzięczni jesteśmy panu **Zdzisławowi Brzezińskiemu**, byłemu burmistrzowi Piastowa [w latach 1990-2010], który towarzyszył naszemu rozmówcy i dzięki któremu to spotkanie mogło się odbyć.

Wywiad zaczynamy od pytania o stanowisko, jakie pan Benedykt Filoda zajmował w Zakładach przed ogłoszeniem w Polsce stanu wojennego w 1981r.

Pracowałem w narzędziowni. Oczywiście, mimo specjalności związanej z produkcją, jednocześnie angażowałem się w jakąś działalność. Raz była intensywna raz mniej, ale jak to bywa po czasie pojawia się ktoś, kto wszelkie tego typu działalności chce kontrolować. Zawsze byłem przeciwnikiem - teraz można to powiedzieć głośno - komuny i mimo tego, że w każdej chwili można było być aresztowanym, to chęć działania była silniejsza. Strajki odbywały się głównie w zakładach pracy. W Piastowie, czyli w tych mniejszych zakładach opór był raczej bierny niż czynny. Często bywało tak, że osoby z mniejszych zakładów w trakcie trwania strajków przychodziły do „Ursusa”, by tam protestować. W tamtym okresie w „Ursusie” pracowało około 16 000 osób.

A jak pańska rodzina zareagowała na pana działalność?

Rodzina? „Oho, ojciec już rozrabia”. Byli ciekawi, wie pan, żona młoda, syn młody. No, a jeśli chodzi o wsparcie czy krytykę, to powiem, że zawsze byłem negatywnie nastawiony do tamtego ustroju i mimo, że każdy o tym wiedział, to się o tym nie mówiło, a robiło się swoje.

Czy był pan w trakcie strajku aresztowany bądź spotkały pana inne konsekwencje ze strony SB bądź milicji?

Tak. 13 grudnia 1981, jak wprowadzono stan wojenny, strajkowałem wraz z kolegami w Zakładzie. Nie była to, co prawda, wielotysięczna grupa, to też sprawiło, że strajk nie był znany, tak jak strajki w stoczniach czy kopalniach na Śląsku. Mimo to, widać było, że ludzie, którzy obserwowali strajk, popierali go. Natomiast, co do aresztowań, to byłem aresztowany i przesłuchiwany.

Spotkał się pan z przemocą wobec siebie bądź kolegów ze strony milicji?

Nie. Nigdy nie użyto wobec mnie siły, żaden kolega też nic mi o czymś takim nie mówił. Zadawano mi pytania i trzymano godzinami, ale nie użyto wobec mnie przemocy.

Tutaj przy okazji wypowiada się pan Brzeziński i mówi o aktach, zarówno pana Benedykta Filody, jak i swoich własnych, które zostały odtajnione i można je przejrzeć w archiwach Instytutu Pamięci Narodowej. Pan burmistrz mówi, jak sam przeglądał akta dotyczące jego osoby. Mówi z uśmiechem:

Szczerze wątpię, czy aby na pewno byłem aż tyle razy przesłuchiwany, ile wynika z raportów prowadzącego je oficera SB, ale być może premie w organach bezpieczeństwa były wypłacane w zależności od liczby przesłuchań.

I mówi pan, że te akta są dostępne?

Jak najbardziej. Oczywiście nie wszystkie, lecz te, które do tej pory zostały odnalezione i zweryfikowane przez IPN, można je zobaczyć w opublikowanych katalogach. Są tam akta moje, pana Benedykta i innych, być może jeszcze nie wszystkich działaczy opozycji.

Po tej informacji zachęteni do wybrania się do archiwum IPN pytamy pana Benedykta Filodę, czy kiedykolwiek w trakcie swojej działalności był krytykowany za to, co robi.

Nie. Oczywiście ludzie byli podzieleni na tych sympatyzujących z władzą i jej przeciwników, ale nie doświadczyłem otwartej krytyki w moją stronę.

A był pan może świadkiem jakiejś kolaboracji z władzami? Czy któryś z pana kolegów bądź znajomych z zakładu sympatyzował z partią?

Jeśli mówimy o zakładzie i jego pracownikach, to żaden z robotników, o ile mi wiadomo, nie podjął się czegoś takiego, natomiast, oczywiście, bliżej partii były władze zakładu, ale wtedy na czele takich instytucji nie stały osoby niezwiązane z partią.

Czy poza swoją działalnością w Zakładzie, po strajku podejmował pan jeszcze jakieś działania przeciwko władzy? Jeśli tak, to czy w tych późniejszych okresach był pan w jakikolwiek sposób, powiedzmy, nękanym przez Służby Bezpieczeństwa bądź milicję?

W późniejszych czasach starałem się działać politycznie, oczywiście moje działania były lokalne. Natomiast wracając jeszcze do strajku, przez pewien czas jeździłem do innych, mniejszych zakładów. Tam pokazywałem ludziom, że można organizować coś takiego (strajki – przyp. red.). Miało to dobry odbiór. Strajki bierne stawały się czynnymi formami protestu. Co do SB i milicji, to, jak już mówiłem, byłem

aresztowany, później byłem też internowany, natomiast jeśli chodzi o wydarzenia po strajku, to byłem cały czas pod obserwacją, jednak nie zatrzymano mnie już później. Pamiętam, jak pewnego dnia milicja przyszła do mojego dawnego mieszkania, to było tuż po wprowadzeniu stanu wojennego. Milicja dobijała się do drzwi wczesnym rankiem aż w końcu wyszła sąsiadka i powiedziała im, żeby przestali, bo jest poranek, a w domu i tak nikogo nie ma. Okazało się, że milicjanci przyszli po mnie kilka dni po mojej przeprowadzce do Warszawy. Do równie groteskowej sytuacji doszło w trakcie strajku, kiedy to antyterrorysty wpieryw staranowali otwartą bramę, a potem przygotowani najwyraźniej na opór wtargnęli na główną halę zakładu. Byli bardzo zdziwieni, gdy pracownicy tego oporu nie stawiali.

Nasz rozmówca przez chwilę jeszcze opowiadał anegdoty z okresu PRL-u. Następnie padło pytanie o autorytety z tamtego czasu. I tutaj znów odpowiedzi udzielił nam pan burmistrz Zdzisław Brzeziński.

Bez wątpienia w tamtym okresie takim głównym autorytetem był Kościół. Prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński miał bardzo dobry posłuch wśród ludzi. Mniejszą popularnością mógł się pochwalić Prymas Józef Glemp, głównie przez swoje pierwsze przemówienie po wprowadzeniu stanu wojennego. Natomiast na pewno wybranie Karola Wojtyły na papieża zwiększyło nadzieję wśród Polaków. Było też wielu innych przedstawicieli Kościoła, którzy działali na rzecz „Solidarności”. Wszelkie kazania patriotyczne i antykomunistyczne sprawiały, że ten autorytet się zwiększał.

Pan Benedykt Filoda zgadza się z panem burmistrzem w kwestii autorytetu. Zadajemy już ostatnie pytanie:

Czy żałuje pan czegoś, czy zrobiłby pan więcej, a może czegoś by pan nie zrobił? Gdyby pan mógł, to czy zmieniłby pan coś?

Jestem takim człowiekiem, który uważa, że nieważne, ile bym zrobił, zrobiłbym za mało. Dlatego jeżeli mógłbym coś zmienić, to zrobiłbym więcej. Jednak wszyscy wiemy, że na tamte czasy zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, co byliśmy w stanie zrobić.

Na koniec już po podziękowaniach za udzielony wywiad pan Brzeziński daje nam książkę z historią Ursusa w PRL-u. Po wywiadzie jesteśmy pełni refleksji. Pan Benedykt Filoda jest bez wątpienia bohaterem NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze.

**Z weteranami stanu wojennego rozmawiali
Piotr Jądrzyk oraz Ignacy Różański z klasy 2a.**

SPOTKANIE Z POETĄ

Pawłem Kubiakiem



Praca poety od drugiej strony **cz.1 Tłumaczenie wiersz**

Był moment, ponad rok, w którym byłem nieformalnym sekretarzem pisma „Literacka Polska”. Robiłem dla niego korekty, pisałem oraz pozyskiwałem teksty. Pewnego razu do redakcji, która mieściła się w prywatnym mieszkaniu poety Jana Marszałka, przyszedł Wietnamczyk, doktor fizyki i poeta Lam Quang My i mówi „Za dwa dni przybywa delegacja pisarzy wietnamskich, a my nie mamy ich utworów przetłumaczonych na język polski, dobrze by było, gdyby Polacy wysłuchali chociaż kilku wierszy”. Pomimo początkowych wątpliwości związanych z nieznaną znajomością języka, zgodziłem się.

Wspólnie tłumaczyliśmy wiersze, Lam „opowiadał” mi treść, ja zapisywałem. Nie było łatwo, bo języki bardzo się różnią. Język wietnamski jest monosylabiczny, często występują rymy wewnętrzne oraz powtórzenia służące podkreśleniu wagi tematu. Ważne sekwencje powtarza się dwa razy, niekiedy trzy itd. Inna jest symbolika, sposób obrazowania. Klasyczny przekład jest wręcz niemożliwy. To jakby tworzenie nowego utworu, bardziej pisanie „na motywach” aniżeli tłumaczenie. Zawsze starałem się zachować warstwę znaczeniową, fakty, przesłanie.

Najpierw pracowaliśmy nad tekstem, później zabierałem surowy polski przekaz, myślałem nad nim w tramwaju, autobusie, szukałem najbardziej adekwatnych polskich słów. Musiałem nadać naszej pracy wyraz artystyczny, brzmienie możliwe do przyjęcia przez polskiego czytelnika. Po powrocie do domu wpisywałem tekst do komputera, wygładzałem

i wysyłałem Wietnamczykowi. On sprawdzał, czy treść nie odbiega od oryginału i przy następnym spotkaniu sugerował ewentualne zmiany. Jeszcze raz zasiadaliśmy do pracy i powstawała ostateczna wersja. Delegacja przybyła, odczytane zostały wiersze w obydwu językach, ale translatorski zapal pozostął.

Udało nam się przez pięć lat wydać dwie antologie. W pierwszej zawarte było 10 wieków poezji wietnamskiej, w następnej tak zwana "nowa poezja", 9 lat, które wstrząsnęło ich twórczością, nadało nowy ton, zupełne porzucenie twórczości wzorowanej na literaturze chińskiej.

Po ukazaniu się każdej z antologii byłem zapraszany na zjazd tłumaczy do Wietnamu, który trwał ponad tydzień. To niesamowity kraj z monumentalną przyrodą, Mekongiem, Rzeką Czerwoną, zatoką Ha Long. Pełno w nim śladów polskości, naszej myśli technicznej. Wietnamczycy bardzo szanują nasz naród i doceniają współpracę w dziedzinie przemysłu, ale także kultury.

Tym sposobem wszedłem na kolejną ważną życiową ścieżkę. Otworzyło się przede mną coś innego, nowy obszar penetracji intelektualnej. Mnóstwo ludzi pisze w Polsce wiersze, a tłumaczenie, uprzystępnianie dalekich światów, kultur – może to po mnie pozostanie najbardziej?

Ewie Tykwińskiej opowiadał pan **Paweł Kubiak**

Bo jeśli
żyć można
wierszem -
kochać
wierszem można,
rwać więzy,
pestkę duszy łupać.

Można się,
pisząc,
dopisać płomienia.

Hera moja miłość to książka, o której usłyszałam od znajomych. Jej tytuł, fabuła, a także poruszony problem od razu mnie zainteresowały i skłoniły do przeczytania. Została ona napisana przez polską autorkę, Annę Onichimowską. Jest to pierwsza z trzech części powieści skierowanej głównie do młodzieży, wydana w 2003 roku. Opowiada o wielu problemach rodziny, która nie jest taka, jaka mogłaby się wydawać. Grażyna i Kamil z pozoru stanowią idealne małżeństwo - ona to kobieta sukcesu, która robi wielką karierę, jej mąż także nie może narzekać na swoją posadę i zarobki. Mają dwóch synów - siedemnastoletniego Jacka oraz siedmioletniego Michała. Wszyscy mieszkają w pięknym, luksusowym domu. Wszyscy razem, ale jakby osobno, ponieważ rodzice całymi dniami pracują, często są nieobecni, zarówno w domu, jak i w życiu swoich dzieci. Powieść jest skupiona głównie na starszym bracie - inteligentnym, ambitnym, wrażliwym chłopaku, który interesuje się filmem i fotografią. Jednak kiedy go poznajemy, wkracza on w okres młodzieńczego buntu, chęci przeżycia czegoś nowego. Poznaje Dankę, dziewczynę pochodzącą z patologicznej rodziny, dla której narkotyki stanowią cały sens życia. Nastolatka namawia chłopaka do spróbowania używek, które sprawiają, że świat jest lepszy i przyjemniejszy. Jacek ulega namowom i tym samym wchodzi w niebezpieczny nałóg. Oczywiście nie kończy się na spróbowaniu - bohater powoli zatracą się w innym, dotychczas nieznanym świecie. Będąc pod wpływem narkotyków, ucieka od codziennych problemów, a wszystko wokół niego staje się bez troski. Mały Michał bacznie obserwuje zachowanie i styl życia brata, w pewnym sensie go podziwia i chce się do niego zbliżyć. Chłopiec też pragnie spróbować tajemniczego środka, więc pewnego dnia kradnie Jackowi narkotyki. Michał, oderwany od rzeczywistości, nie zdaje sobie sprawy, w jakim stanie jest jego umysł. Niestety, kończy się to tragicznie. Rodzice, za to, co się stało, obwiniają starszego syna, który nie może pogodzić się z sytuacją. Ma ogromne wyrzuty sumienia, nie wie, co ze sobą zrobić, przez co dalej zażywa narkotyki. Wszystko zaczyna być coraz bardziej skomplikowane, coraz trudniejsze. Nałóg z każdym dniem pochłania Jacka coraz bardziej, chłopak powoli sięga dna. Brak wsparcia rodziców, którzy są zajęci pracą i nie starają się zrozumieć problemów syna, nie pomaga w uwolnieniu się od świata używek. Jednakże po wszystkich traumatycznych zdarzeniach, nastolatek pomału zaczyna uświadamiać

sobie, że odcinanie się od rzeczywistości nie jest wyjściem, a narkotyki są tylko chwilowym rozwiązaniem.

W książce opisany jest nie tylko problem nałogu, ale również braku zainteresowania i akceptacji rodziców. Dzieci nie mają z kim porozmawiać o swoich problemach, zamykają się w sobie, czują się samotne i odrzucone. Jacek szuka pocieszenia akurat w narkotykach, które przynoszą mu pewnego rodzaju ulgę. Zapomina o całym świecie, zaczyna żyć w wykreowanej rzeczywistości. Sądzę, że gdyby miał możliwość rozmawiania z bliskimi o tym, co go męczy oraz o tym, co czuje, mogłoby się to skończyć zupełnie inaczej.

W utworze nie ma jednego narratora, co uważam za sporą zaletę, bo możemy śledzić wydarzenia z perspektywy różnych bohaterów, przez co wiemy, co czuje każdy z nich. Lektura jest napisana językiem prostym, zrozumiałym dla wszystkich odbiorców - nie tylko dla tych starszych. Jest to ważne, ponieważ młodzi ludzie powinni czytać o tym, jakie niebezpieczeństwo przynoszą uzależnienia. Natomiast rodzice, po przeczytaniu takiej książki, mogą zastanowić się, czy faktycznie są obecni w życiu swoich dzieci i czy stanowią dla nich oparcie. Autorka ukazuje również ślełą pogoń za pieniędzmi, które wcale szczęścia nie dają. Ważniejsza jest obecność bliskich oraz ich zaangażowanie i zrozumienie.

Utwór Anny Onichimowskiej niewątpliwie wzrusza, a co najważniejsze - skłania czytelnika do refleksji. Uważam, że każdy, niezależnie od wieku, powinien sięgnąć po tę książkę, ponieważ daje ona wyobrażenie o problemach, które tak naprawdę mogą spotkać każdego z nas. Szczerze zachęcam do poznania tej oraz innych książek autorki, zwłaszcza tych opisujących dalsze losy bohaterów.

Zuzanna Leniarska, kl. 3b

**Recenzja nagrodzona w szkolnym konkursie czytelniczym.
GRATUTUJEMY**

Anna Onichimowska – polska poetka, prozaik, dramatopisarka, autorka książek dla dzieci, młodzieży i dorosłych oraz scenariuszy radiowych, telewizyjnych i filmowych.

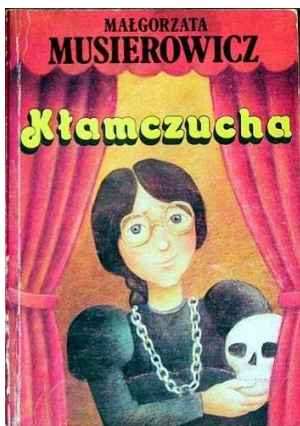
Piotr o „Jesus Christ Superstar”

Niedawno razem ze swoimi rodzicami oraz bratem byliśmy na musicalu „Jesus Christ Superstar”. Ze względu na to, że musicalu nie wystawia się już na scenach warszawskich teatrów, musieliśmy udać się do Teatru Muzycznego w Łodzi.

Sam musical powstał w roku 1969 w Wielkiej Brytanii i opowiada o ostatnich latach życia Jezusa Chrystusa oraz porusza wątki innych biblijnych bohaterów, na przykład: Judasza, Marii Magdaleny czy Szymona Zeloty. Musical powstał w wersji angielskiej, został przetłumaczony na wiele języków (w tym na polski) i szybko zyskał sobie wielu fanów. W Teatrze Muzycznym w Łodzi zdecydowano się na wystawienie go w oryginalnym języku, używając specjalnych ekranów z polskim tłumaczeniem dla osób, które nie radzą sobie z angielskim. Musical zaczął się wejściem na scenę aktorów przebranych za żołnierzy okładających policyjnymi pałkami grupę manifestujących osób. Ówczesną Jerozolimę zarysowano jako współczesną metropolię, co sprawia, że spektakl staje się bliższy i bardziej przystępny w odbiorze dla dzisiejszego widza.

W przedstawieniu wszystkie kwestie bohaterów mają charakter piosenki, co nadaje całemu musicalowi rytm i niepowtarzalny klimat. Poznajemy w nim większość postaci z ksiąg Nowego Testamentu, takich jak: Jezus, Dwunastu Apostołów, Król Herod czy Piłat. Każdy bohater ma swój własny motyw przewodni oraz nastrój, w którym śpiewa. Najbardziej spodobała mi się postać Heroda, pomimo tego, że pojawia się tylko na czas jednej piosenki, grający go aktor doskonale zaśpiewał swoją kwestię i zagrał króla. Kolejną interesującą postacią był Judasz, któremu autorzy musicalu dopisali wspaniałą piosenkę, który śpiewa pośmiertnie w czasie Drogi Krzyżowej Jezusa, tytułową „Superstar”.

Wspaniała gra aktorska, muzyka oraz niepowtarzalny klimat sprawiły, że uważam „Jesus Christ Superstar” za najlepszy musical, jaki kiedykolwiek widziałem (zaraz po „Les Misérables”). Polecam zobaczenie tego wspaniałego widowiska każdemu koneserowi sztuki, zanim jego wystawianie zostanie zaprzestane.



Ostatnio mój brat musiał przeczytać *Kłamczuchę* Małgorzaty Musierowicz. W naszej relacji jest tak, że kiedy on musi przeczytać pewną lekturę polskiego pisarza, to czytamy ją razem przed snem. Minęło dużo, dużo czasu, kiedy po raz ostami czytałam tę książkę. Nigdy nie przepadałam za Anielą. Pierwszy raz czytałam to dzieło w piątej klasie podstawówki. Lektura *Kłamczuchy* nie natchnęła mnie do przeczytania całej *Jeźycjady*, o wiele bardziej inspirowało mnie *Opium w rosole*.

Jeśli ktoś nie pamięta, to przypomnę co nieco.... Rzecz dzieje się w Łebie, przynajmniej tam zaczyna się akcja *Kłamczuchy*. Aniela Kowalik, pólsierota, córka rybaka (czy Wy też słyszycie tę melodię?), na nadbrzeżu spotyka Pawełka, jawiącego się jej jak skrzyżowanie wszystkich olimpijskich bogów. Aniela lekceważy ojca i idzie w tango z nowopoznanym. Ów młodzian od dłuższego już czasu bawił w Łebie i następnego dnia wraca do domu do Poznania. Tym wyznaniem rujnuje Anieli życie, ponieważ ona zakochała się już dokumentnie. Jednak Aniela nie chce po prostu zaakceptować odjazdu Pawełka, łebska dziewczyna postanawia podjąć naukę w Liceum Poligraficznym, które mieści się – o szczęśliwy farcie – w Poznaniu, a zamiast w internacie na drugim końcu miasta, zamieszkać u krewnych ojca w bezpośrednim sąsiedztwie Pawełka. Akcja książki trwa od maja do grudnia, w tym czasie Anielę, zwaną Kłamczuchą spotka sporo przygód, sytuacji ekstremalnych. Będzie musiała też odrobić lekcję z kontaktów międzyludzkich.

Naprawdę nie lubię tej książki. Aniela jest bohaterką egoistyczną i egocentryczną, nie lubię takich osób. Przeraza mnie moment, gdy zostawia w domu dwójkę małych dzieci, które rozsadza energia. Aniela nie tylko nie czuje wyrzutów sumienia, ale jest zła, że ktoś ma o to pretensje. Łże na potęgę, nie bacząc, czy wyrządzi komuś krzywdę. Dla niej liczy się tylko ANIELA KOWALIK.

Wprawdzie końcówka książki daje nadzieję, że Aniela zrozumiała parę spraw, ale dalsze książki pokażą, że Aniela się nie zmieniła, nadal będzie uważała, że świat jest sceną stworzoną tylko po to, by ją podziwiać. Nie znaczy to, że *Kłamczucha* jest złą książką, jest

specyficzna, ma kilka fantastycznych scen, jak ta z jedzeniem pączków czy wierszykami Mamerciątek, ale na pewno nie jest moją ukochaną częścią. Teraz już będzie lepiej.

Joanna Seliga, klasa 3a

Zdaniem Pauliny

Życie trzynastoletniej Bethany Hamilton przypomina bajkę. Dziewczyna ma kochającą rodzinę, przyjaciółkę i łączącą ich wszystkich pasję - surfing. Nastolatka odnosi coraz to większe sukcesy w sporcie, na co z dumą patrzą jej rodzice. Gdy pewnego razu wybiera się posurfować z przyjaciółmi, staje się coś, co wywraca życie Bethany do góry nogami. Rekin odgryza jej rękę tuż pod ramieniem. Dziewczyna uchodzi z życiem tylko dlatego, że w tej krytycznej sytuacji wykazała się niezwykle opanowaniem. Po powrocie ze szpitala próbuje nauczyć się normalnie żyć, jednak nie zawsze jej się to udaje, przez co nastolatka przechodzi małe załamanie. Z czasem informuje rodziców, że czuje się gotowa, aby powrócić do surfingu. Wszystko zaczyna się układać i dzięki ciężkiej pracy udaje jej się wziąć udział w zawodach, od których wygrania dzieli ją tylko sekundy. Mimo to zwyciężczyni i zarazem jej największa rywalka dzieli się z nią pucharem, sugerując, że dla niej Bethany wygrała. Brzmi zbyt cukierkowo? To była moja pierwsza myśl po obejrzeniu tego filmu. Sądziłam, że jest to kolejny film, który ma udowodnić widzowi, że chce to móc i zasugerować mu, że wszystkie problemy nie do pokonania są nie do pokonania tylko w naszych głowach. Jakże się zdziwiłam, gdy z napisów na końcu wyczytałam, że jest to historia prawdziwa. Wtedy naprawdę uwierzyłam, że człowiek sam decyduje o tym, gdzie są jego granice i jest w stanie zrobić więcej niż mu się wydaje. Od tego momentu Bethany Hamilton jest moją inspiracją, a film pod tytułem ***Soul surfer*** znalazł się na liście ulubionych filmów. Osobiście polecam obejrzeć każdemu, kto chwilowo zgubił motywację.

Paulina Rybakowska, klasa 3cd

Surferka z charakterem – amerykański film biograficzny z gatunku dramat z 2011 roku w reżyserii Seana McNamary.

Wesołych
Świąt!!!



rys. Aleksandra Wyralska, kl.3a

życzy zespół redakcyjny